



Holandia • Europa • Świat

Scena Polska

Kwartalnik nr 1(69)/2012

ISSN 1233-7633

Cena: 2 EURO

XX lat Pools Podium



*Radosnych i pogodnych
Świąt Wielkanocnych!*



Kasia Klich

Bajkowa Drużyna

Maria Czubaszek
 Grzegorz Micugow
 Daria Widawska
 Artur Andrus
 Bartek Kasprzykowski
 Janek Kietliński
 Katarzyna Kwiatkowska
 Piotr „Litoy” Marzec



Kasia Klich

Anna Dymna
 Ryszard Kalisz
 Halina Mlynkova
 Artur Orzech
 Jaroslaw „Yaro” Plocica
 Łukasz i Piotruś Nowicy
 Beata Tadla
 Jaroslaw Kuźniar



www.proszynski.pl

Część
 doходу ze
 sprzedaży książki
 trafi na konto
 Fundacji na rzecz
 Dzieci
 z Wadami Serca
 „Cor Infantis”



O brzydkich wyrazach,
cukierkowej diecie

i o innych sprawach,
co ciekawią dzieci

O brzydkich wyrazach,
cukierkowej diecie

i o innych sprawach,
co ciekawią dzieci

Bajki i piosenki do czytania
Prószyński i S



Bajki i Piosenki
do czytania i słuchania

Dołącz do
Bajkowej Drużyny Kasi Klich!



Książka z płytą CD
dla dzieci w każdym wieku

PATRONAT MEDIALNY



NAJTANIEJ KUPISZ NA





GIENEK BRZEZIŃSKI

Drodzy Państwo

Przyznam, że nie jest mi łatwo pisać ten tekst. Redaktor naczelna podróżuje (z przygodami) po dalekich krajach, jej córka Natalia jej w tych podróżach towarzyszy, pocą się, i to nie tylko przez wysokie temperatury, a my tu marznąć okrutnie najpierw przez zimę (w tym kraju każda kolejna zima jest jednak ogromną niespodzianką, nie zawsze najprzyjemniejszą zresztą), a teraz dzięki atmosferze schłodzonej niemiłosiernie przez – jak w swoim mądrym i wzruszającym tekście pisze Agnieszka Steur – „pana W”. To oczywiście temat numer jeden ostatnich tygodni. Czy warto odpowiadać na tę żalną akcję bojkotem wszystkiego, co holenderskie? Czy należy się na Holandię i Holendrów obrazić? Osobiście odpowiadam na oba te pytania przecząco. „Pan W.” to, na szczęście, nie – Holandia i nie – Holendrzy. To właściwie nawet nie – partia polityczna. To wybryk (nawet nie pisany wielką literą). Wiem, że groźny w potencjalnych konsekwencjach. Bo ksenofobia i dyskryminacja są jak groźny wirus; nie widać tego gołym okiem, więc się to-to lekceważ, aż tu nagle mamy epidemię i wtedy jest za późno.

Czy można coś przeciw ksenofobii czy dyskryminacji działać? Czy my możemy

coś zrobić? Oczywiście! Między innymi przez bycie sobą: normalnymi, kulturalnymi, przyzwoitymi Europejczykami. Nie musimy się wstydzić swojej Polskości; mamy wszelki powody, by być z niej dumni. To właśnie pan W. powinien się wstydzić. W swojej dziwnej krucjacie przeciwko wszystkiemu, co „obce” zagalopował się straszliwie. Ale przecież w tym kraju dosyć jest mądrych, życzliwych nam ludzi, którzy tę jego działalność nie tylko potępili, ale – co chyba jeszcze mądrzejsze i skuteczniejsze – ośmieszyli bezlitośnie.

A w tak zwanym międzyczasie cicho i niemal niepostrzeżenie – ale przecież na zawsze, niestety – odeszła od nas Wisława Szymborska. Zostawiła smutek i piękne wiersze. Przed laty, na wiadomość o przyznaniu Nagrody Nobla Scena Polska zareagowała we właściwy (sobie) sposób; zaprosiliśmy na jeden wieczór z Polski Annę Romantowską, która w Delft, w niepowtarzalny sposób deklamowała nam wiersze Poetki. Był to wieczór tyle uroczy, co niezapomniany. A jeśli pozostały w pamięci Państwa inne jakieś chwile spędzone ze Sceną Polską w Holandii, prosimy się nimi dzielić; piszcie do nas, wspominajcie, a my najładniejsze teksty opublikujemy w nu-

merze poświęconym w całości naszemu jubileuszowi.

A co na naszym podwórku? Przygotowaliśmy dla Państwa pierwszy w jubileuszowym roku dwudziestolecia Sceny Polskiej w Holandii numer Kwartalnika, który – jak zwykle zresztą – wart jest czytania od pierwszej do ostatniej okładki. I nie martwcie się Państwo; Zosia, choć z bardzo daleka, to przecież nad całością czuwała i czujne redaktorskie oko i ucho, dzięki nowoczesnej technice, do powstania i tego numeru przykładała. I nawet dzieli się z nami spisanymi na gorąco niezwykle spotkaniami.

Nie pozostaje mi więc nic innego, jak życzyć Państwu wspaniałej lektury.

Agnieszka Sadlakowska

Modelka

ułożona do pozowania

przeszywa ją wzrok

czuje każde dotknięcie

kolory na ciele

plótna schną

nad ranem

żrebak za oknem

na trawie rosa

wena zmrzyta myśli

SCENA POLSKA | Kwartalnik, nr 1 (69) 2012 | ISSN 1233-7633

Pismo dofinansowuje Senat RP

WYDAWCA/ZESPÓŁ REDAKCYJNY: Zofia Schroten-Czerniejewicz (red. nacz.), Gienek Brzeziński (sekr. red.), Agnieszka Steur, Alicja Grygierczyk, Barbara Kraaikamp, Ewa Augustyniak, Kinga Rękawiczna (korespondentka) oraz zespół.

Stichting Pools Podium

Tel. 31 (0) 30 2718296, fax. 31 (0) 30 2719613, E-mail: scenapolska@planet.nl

Stichting Pools Podium, ABN AMRO Utrecht, 51.85.44.443.

www.scenapolska.nl | www.poolspodium.nl

Zdjęcia: Archiwum SPP,

Skład: Mac Map / Mariusz Mamet

Druk: Drukarnia Swarzędzka Stanisław i Marcin Witecki, Tel. +48 (61) 817 27 64

Okładka: fot. [Janusz Romaniszyn](http://JanuszRomaniszyn)

ZAPRASZAMY DO PRENUMERATY!

Zadbaj o stałą, bezstresową dostawę kwartalnika, zostań Przyjacielem Sceny Polskiej w Holandii. Wpłacisz dobrowolną kwotę na konto 51.85.44.443 (tnv. Stichting Pools Podium) zapewnisz sobie ciągłość lektury, łatwość dostępu do niej i informacje o wszystkim, co organizuje Scena Polska w Holandii.

SCENA POLSKA



POOLS PODIUM

www.scenapolska.nl



Wszystkie dzieci nasze są

Bądźcie nietolerancyjni tylko wobec nietolerancji

Hippolyte Adolphe Taine

AGNIESZKA STEUR

Zimno, bardzo zimno. Stoję przed szkołą i czekam na moje dzieci. Lekcje się skończyły i przez drzwi zaczynają już wysypywać się maluchy. Po chwili ze szkoły wybiega moja córka z torbą w jednej ręce i szalikiem w drugiej. Kiwam z dezaprobatą głową, jej nigdy nie jest zimno, przytulam ją i pomagam zawiązać splecioną czerwoną włóczkę pod szyją.

– Gdzie twój brat? – pytam.

– Już idzie, widziałam, że ubierał kurtkę, odpowiada moja dziewczynka, wesoło podskakując wokół mnie. Zastanawiam się, jak to jest, że ona nie czuje tego przejmującego chłodu. W drzwiach szkoły pojawia się mój syn. Od razu widzę, że coś jest nie tak. Pytam go, co się stało.

– Mamuś – odpowiedział ze smutkiem – Thijs powiedział, że Polacy są belachelijk. Jak się mówi belachelijk po polsku? Przytulam go, całuję w czoło i wolniutko idziemy do samochodu zaparkowanego nieopodal. Rozmawiamy o tym, co tego dnia wydarzyło się w szkole. Pytam go, czy domyśla się, dlaczego ten dziesięciolatek w ten sposób się do niego odezwał.

– Nie wiem, ale mówi też, że Peter jest grubo a Arjen wariat.

– Widzisz, wygląda na to, że on mówi niemiłe rzeczy wielu dzieciom. Nie wiedział, jak tobie zrobić przykrość i wybrał tę drogę. Dlaczego tak robi – bardzo trudno jest stwierdzić. W głębi duszy mam nadzieję, że nie usłyszał tego od dorosłych.

Chciałam jeszcze mu powiedzieć, że nie powinien się martwić, bo dzieci tak mają, ale w tej chwili przypomniała mi się

podsztyta nienawiścią, uśmiechnięta twarz pana W. i zdałam sobie sprawę, że to nie jest prawda. To nie tylko dzieci. Dorośli też tak mają – ci którzy nie rozumieją, ci którzy się boją, ci którzy nienawidzą... Ciasnota umysłowa i brak wyobraźni to przecież też cecha dorosłych.

Zaglądam w szaroniebieskie oczy mojego syna i zastanawiam się, jak mu to

wanych przez wybryki kilku osób. Czyżbym była naiwna? Być może...

Tak bardzo chciałam mu powiedzieć, że to tylko świat dziecka z potworami pod łóżkiem, z którego się wyrasta. Przekonałam go, że tylko dzieci bezmyślnie wypowiadają słowa, nie bacząc na konsekwencje. Chciałam, ale wiem, że wtedy bym skłamała.

– Kochany, są tacy ludzie. Ludzie, którzy nienawidzą, bo nie rozumieją. Są też tacy, którzy powiedzą wszystko, byle zwrócić na siebie uwagę. Nie interesuje ich wtedy, czy robią krzywdę innym. Twojego kolegę pewnie nie interesuje, czy zrobił tobie przykrość, nie interesuje go, jak się poczujesz ty, Peter czy Arjen. Tobie jest przykro, ale pomyśl, jak przykro byłoby jego mamie, gdyby dowiedziała się, że jej dziecko tak się zachowuje. Postaraj się nie zwracać uwagi na to co mówi, może przestanie gdy wykrzyczy frustracje. Jeśli nie – porozmawiam z jego mamą.

Nietolerancja jest niczym pasożyt, który toczy człowieka od środka. Czasem pasożyt jest tak wielki, że pochłania całe państwo. To destrukcyjna siła, która nie jest w stanie stworzyć nic nowego, a przynajmniej nic dobrego. Koniec jest zawsze smutny. Ktoś taki, jak pan W. wykorzystuje tę siłę dla rozgłosu. Nie potrafię

przestać myśleć o tym, że ten pan szerząc nienawiść, nie bierze pod uwagę faktu, że wśród tej wielkiej grupy Polaków mieszkających w Kraju Wiatraków, jest także bardzo dużo dzieci, które przez jego działanie nie na lekcji historii ale na własnej skórze, uczą się, co to nietolerancja i dyskryminacja.

AS



wszystko wytłumaczyć. Wiem, że jest dumny ze swych polskich korzeni i nie chce, aby ktoś to zmienił. Tak bardzo chciałam dać mu świat, w którym ludzie oceniani są na podstawie tego kim są. Świat w którym są indywidualnościami, jednostkami, nie narodami rzuconymi do jednego worka. Świat jednostek a nie grup... szczególnie nie grup kategoryzo-



Już nas nowym wierszem nie uraczy...

GIENEK BRZEZIŃSKI

Nagrobek

Tu leży staroświecka jak przecinek

autorka paru wierszy.

Wieczny odpoczynek

raczyła dać jej ziemia, pomimo że trup

nie należał do żadnej z literackich grup.

Ale też nic lepszego nie ma na mogile

oprócz tej rymowanki, łopianu i sowy.
Przechodniu, wyjmij z teczki mózg
elektronowy i nad losem Szymborskiej
podumaj przez chwilę.

Nie wiem, kiedy Wisława Szymborska napisała ten wiersz. Szczerze mówiąc, nie chce mi się „googlować” i poszukać daty jego powstania. Bo i po co? Jakie to ma znaczenie? Przecież nie napisała go mając lat dwadzieścia, będąc „pryszczatą”, mało znaną poetką. Takie wiersze pisze się raczej już przed metą, już czując na sobie ten oddech nieuchronności, mając poczucie, że najważniejsze już za nami, a przed nami już tylko spokój. To wiersz wynikający przecież z tzw. życiowej mądrości.

(A jednak przełamalem się, sprawdziłem i co się okazało? Wiersz pochodzi z tomiku „Sól” wydanego w ...1962 roku! Czy mam zmienić cały wstęp? Nie, myślę, że go zostawię, bo ta data świadczy jeszcze dobitniej o wyjątkowości Szymborskiej i o jej właśnie życiowej mądrości, która u niej nie przyszła za późno.)

Tak trudno mi o Niej dzisiaj pisać, bo piszą i mówią wszyscy. Więc cóż tu jeszcze dodać od siebie, co nie zostało już powiedziane? Czym się wyróżnić? Jakim oryginalnym spojrzeniem na Jej poezję zabłysnąć?

Kończy się – skończyła się? – jakaś ważna epoka; nie ma już Herberta, Miłosa, nie ma Szymborskiej. Nie będę się tu wdawał w dyskusowanie politycznej drogi Noblistki i nie będę nawet próbował bronić Jej przed atakami naszych, pożałuj Boże, jedynych „prawdziwych Polaków”, uzurpujących sobie prawo do oceniania ludzi – poetów! – na podstawie ich poglądów politycznych, w dodatku tych sprzed 60 laty.

(...) Dziś o wieczności więcej wiem:

można ją dawać i odbierać.

Kogo nazwano zdrajcą ten

razem z imieniem ma umierać. (...)

Znalazła się wszak w znakomitym towarzystwie pisarzy (Miłosz, Konwicki, Brandysowie, Kołakowski, Słonimski – żeby wymienić tylko kilku), którzy początkowo zafascynowani nowym, mającym być „sprawiedliwym”, ustrojem prędej czy później odkryli jego złudność i prawdziwe oblicze i albo stali się jego otwartymi przeciwnikami, albo uciekli od polityki jak najdalej.

Kiedy przestała pisać „dla mas”, wychwalać ustrój i jego przywódców zaczęła pisać wiersze wzruszające swym ciepłem, specyficznym poczuciem humoru, mądrością, pozorną prostotą. Pozorną, bo choć wydawały się one często być typu „każdy by to mógł napisać”, to przecież naprawdę była to czysta poezja. Bo poezja to uczucia wypowiedziane poprzez perfekcyjnie dobrane wyrazy ułożo-



ne w tym jedynym, właściwym szyku. Noblowski komitet miał najwyraźniej wspaniałe ucho, wyczulone na najczystsze dźwięki, choć przecież wiersze Szymborskiej – wbrew pozorom! – wcale nie są łatwe do przetłumaczenia na obce języki.

Była człowiekiem tak nieprawdopodobnie skromnym, że aż czasem wydawało się, że w tej skromności musi być coś sztucznego. Bo przecież wiedziała, że jest sławna, rozpoznawalna w całym – kulturalnym – świecie, że mogłaby być gwiazdą każdego towarzystwa. A Jej to wszystko, miast imponować i podnosić podbródek, najwyraźniej przeszkadzało, uwierało, do niczego nie było potrzebne. Najautentyczniej mierzył Ją taki „pomnikowo – akademijny” stosunek do niej samej i do jej twórczości. Chciała być poetką i kobietą, nie – Laureatką i Czcigodną Osobistością. Miała do siebie i swoich dokonaniań ten najcudowniejszy dystans, jaki tylko naprawdę wielcy mają w stosunku do siebie samych. Nie musiała udawać, nie chciała, mimo sławy i zaszczytów, być kimś innym, niż wiedziała, że jest. I potrafiła to wyrazić, jak nikt inny, przy pomocy lekkiego słowa, żartu, pełnego zakłopotania spojrzenia.

Oprócz „poważnych” wierszy tworzyła namiętnie limeryki, lepiej (np. „Lepsze dno w jeziorze Wdzydze/niż spożyte tutaj rydze”), moskaliki („Rymowana rozprawa o wyższości Sarmatów nad innymi nacjami tudzież o słusznej karze na zatwardziały, którzy tego poglądu nie podzielają”), odwódki (np. „od samogonu utrata pionu”) i altruistki (np. „Miast okradać krowę z mleka/dój bliskiego ci człowieka”) (cytaty z książki „Rymowanki dla dużych dzieci”, wyd. a5). Miała to wspaniałe, ciepłe poczucie humoru, które nie ma służyć wyśmiewaniu innych, a tylko ich rozbawieniu. Umiała też, jak mało kto, śmiać się z samej siebie.

Jest w śmierci pisarza – jak w każdej śmierci – coś bardzo smutnego. Ale jest też przecież jakiś element rozświetlający nieco mrok: pozostawiona po pisarzu, tak zwana nieładnie, spuścizna. Oczywiście żal, że już nie będzie „nic nowego”, ale przecież mamy na półkach tomiki, po które możemy w razie potrzeby sięgnąć i sycić się do woli, a więc zostaje po pisarzach coś więcej, niż po, na przykład, aktorach teatralnych czy choćby malarzach (ich największe osiągnięcia, jeśli mieliśmy szansę je widzieć, pozostają tylko w naszej pamięci, wisząc gdzieś indziej na ścianach). Więc niech nam te tomiki będą towarzyszyć zawsze, bo choć w mieszkaniu pozostał już tylko kot, to

Śmierć

zawsze o tę chwilę spóźniona.

Na próżno szarpie klamkę

niewidzialnych drzwi.

Kto ile zdążył

tego mu cofnąć nie można.

Na szczęście Wisława Szymborska zdążyła sporo.

GB

Umrzeć – tego nie robi się kotu.

Bo co ma począć kot
w pustym mieszkaniu.

Wdrapywać się na ściany.

Ocierać między meblami.

Nic niby tu nie zmienione,

a jednak pozamieniane.

Niby nie przesunięte,

a jednak porozsuwane.

I wieczorami lampa już nie świeci.



Piszę, więc jestem...

teksty polonistów, studentów, absolwentów i gości – wykładowców Uniwersytetu Amsterdamskiego (8).



ELŻBIETA NIEMCZUK-WEISS

Droży Państwo

W pierwszym numerze kwartalnika otwierającym kolejny rok działalności Sceny Polskiej zachęcam do lektury kilku esejów poświęconych sztuce. Już po raz trzeci pragnę oddać głos prof. Andrzejowi Kowalczykowi, który w latach 1994-2004 gościł na amsterdamskiej Sławistyce z wykładami o współczesnej literaturze polskiej. Plonem tych kilkutygodniowych pobytów były nie tylko efekty dydaktyczne i kontakt holenderskich polonistów z prawdziwym polskim literaturoznawcą, ale również owoce literackie zebrane w tomiku esejów pt. „Miejskie. Amsterdam, Paryż, Berno, Warszawa, Londyn”, które ukazały się w 2004 roku nakładem Wydawnictwa Uniwersytetu Marii Curie-Skłodowskiej w Lublinie. Egzemplarz (z dedykacją Autora) udostępniła mi pani Elżbieta Meijknecht-Proń, za co raz jeszcze bardzo serdecznie dziękuję.

Eseje, które wybrałam, pobłyskują wiosennym słońcem, iskrzą w zimowym zmięczeniu, mienią się wieloma barwami: ciemnowiśniową, brunatną, granatą i żółcieniami, czerwonej ochry i zieleni. Słychać w nich dźwięki muzyki Rachmaninowa. Przed oczyma wyobraźni staje figurka Polaka (?) w turbanie z fasady amsterdamskiej kamienicy, przesuwa się młode kobiety z obrazów Vermeera. A na koniec nieoczekiwanie świat za oknem okrywa biel śniegu, jak na obrazach Avercampa i...za naszymi oknami. Nasz świat widziany wrażliwym okiem gościa. Czyż obraz ten nie umacnia decyzji pozostania w „ziemi błogosławionej”?

PROF. DR HAB. ANDRZEJ STANISŁAW KOWALCZYK jest historykiem literatury związanym z Uniwersytetem Warszawskim. Pracuje w Instytucie Literatury Polskiej w Zakładzie Literatury XX wieku. Bada m.in. twórczość emigracyjną. Jest autorem monografii poświęconej Jerzemu Giedroycowi, twórcy paryskiej

„Kultury”. Sam także pisze teksty literackie. Na swoje pierwsze trzy tygodnie z wykładami o współczesnej literaturze polskiej przyjechał do Amsterdamu w 1994 roku. Potem gościł na UvA przez kolejnych 8 lat do 2004 roku.



ANDRZEJ
STANISŁAW
KOWALCZYK

Brouwersgracht

Zwarte pierzeje nadwodnych kamienic najładniej wyglądają wczesną wiosną, w słońcu, gdy korony wiązów i lip pozostają bezlistne. Z kanałów najpiękniejszy jest szeroki Brouwersgracht, który odkryłem kiedyś w zimowy zmierzch. Odległe brzegi spinają wygięte w łuk mosty, niektóre są zwodzone. Samochodów prawie nie ma, turystów niewielu. Mosty wygięte w łuk, obliczone na znaczną wysokość łodzi i barek, są najstarsze, XVII-wieczne. W XIX stuleciu budowano już mosty płaskie, dla wygody ruchu ulicznego.

Przy nabrzeżach cumują barki mieszkalne. Z jednej z nich dobiegają dźwięki fortepianu, ktoś gra Rachmaninowa.

Mieszkańcy starych domów zachowali dawne obyczaje. Wielkie okna na parterze obywają się bez zasłon. Widać wnętrza salonów, niektóre sprawiają wrażenie, że nie zmieniły się od stu lat.

Ujarzmiona woda jest dla Amsterdamu równie charakterystyczna jak czerwona cegła w murach domów; klinkier, którym w *opus spicatum* (w jodełkę) brukowane są ulice i trotuary, ma barwę ciemnowiśniową lub brunatną. Chropawa, matowa faktura cegły sąsiaduje z połyskującą bielą ram okiennych i futryn, szyby są zawsze doskonale przejrzyste. Amsterdam jest ceglany. Fasad się nie tynkuje, maluje się je najwyżej ciemnobrązową lub czarną farbą.

„Piekielne zagadnienie żółcieni”

Wymawiam jednak z holenderską: *fan choch*. Po którejś wizycie w jego muzeum postanowiłem uczcić van Goghowskie niebo i ziemię, granat i żółcień. Kupiłem marynarkę w pepitkę w tych kolorach, z nitką oranżu (na cześć panującej dynastii orańskiej). W niedzielę poszedłem w niej do muzeum i zaciągnąłem wartę przed *Polem pszenicy ze stadem wron*. Tego dnia wpadł mi w oko inny niepokojący obraz, *Ogród szpitala św. Pawła*, malowany w Saint-Rémy-de-Provence, pełen czerwonej ochry i zieleni. Chciałem w sklepie wymienić marynarkę, ale nie





udało się, a na drugą nie było mnie stać. Nieuchronność kompromisów zniechęca mnie do postawy estetycznej.

De Pool

Polacy bywali w Amsterdamie co najmniej od XVI wieku. Handel ze wschodnią Europą był jednym ze źródeł bogactwa miasta. Na Kerkstraat w śródmieściu stoi stary dom o nazwie *De Pool* – Pod Polakiem (?). Patron domostwa wyobrażony został w postaci figurki na fasadzie. Jest to śniady Turek w turbanie i z czekanem w dłoni. Jedynie ubiór Turka może od bieddy uchodzić za kontusz. W XVII-wiecznym Amsterdamie nie każdy zadawał sobie trud odróżniania nacji egzotycznych. Figura Turka pochodzi zapewne z tego samego czasu co słynny *Polski jeździec*



Rembrandta, którego polskość, od kiedy Tarnowscy sprzedali go za granicę, budzi wątpliwości. Dla jednych jest lisowczykiem lub Kozakiem, dla innych Synem Marnotrawnym bądź żydowskim „Mesjaszem wojennym”, ben Ephraimem.

Vermeer

Spokój artysty, który mówi półgłosem: „Zostawiam wam kilkadziesiąt płócien. Będziecie je czcili aż do skończenia świata”. Takiej pewności nie bywa. Autor się

wycofał. Zostało tylko odbicie w lustrze, które zaraz zniknie. Malował najczęściej ten sam temat – postać kobiecą we wnętrzu, wśród nielicznych rekwizytów, zwykle przy wirginalu, symbolu miłości i harmonii, jakby chciał podkreślić: nie trzeba wam więcej, abyście mieli wszystko.

Vermeer jest poetą miłosnej epistolografii. Jego bohaterki pogrążone są w lekturze listów, właśnie je otrzymują, piszą lub ekspediują. Wielu holenderskich malarzy przedstawiało sceny kameralne,



niejeden, jak Ter Bosch, doskonale, ale tylko u Vermeera znajdujemy przecucie i przeżycie przestrzeni, której znakiem jest list. Jednak najpiękniejszym jego obrazem jest *De keukenmeid*, dziewczyna kuchenna. Zajęta zlewaniem śmietany z mleka, nawet nie wie, ile spojrzeń wyznaje jej miłość.

Avercamp – malarz zimy

Chciałem tę gawędę już zakończyć i z cytatem z Baudelaire'a przejść spacerowym krokiem do kolejnego miasta, a tu, w sobotni poranek 3 lutego, Muntplein za moim oknem cały w śniegu. Pejzaże zimowe Avercampa w Rijks i w Maurits oglądaliśmy z A. jeszcze kilka dni temu jak ilustracje do *Królowej śniegu*. Widziałem w Amsterdamie kanały skute lodem, bywał umiarkowany mróz. Padał śnieg, ale nigdy nie na biało. W takich ilościach Holendrzy widują go tylko w Alpach. I nagle Avercamp odzyskał reputację realisty. Trzeba zaufać sztuce.

„Ponieważ lubisz odpoczynek i widowisko ruchu – mawiał Baudelaire do swojej duszy – czy chcesz zamieszkać w Holandii, tej ziemi błogosławionej? Może zbawi cię kraina, której obraz często podziwiałaś w muzeach.”

Danuta Ławniczak

ojciec

wtedy
nie wiedziałam że jesteś tak ważny
a byłeś
nawet gdy kusą grzywkę
w pośpiechu
tylko gładziłeś
zakazów i nakazów nie pamiętam
żyło się normalnie
a niedziela była święta
na choroby
zawsze byłeś mi lekiem
byłeś opoką
i byłeś człowiekiem
już wtedy skądś wiedziałeś
co mi się kiedyś w życiu przyda
rozzucałeś tylko piórka
z których ja teraz
tkam skrzydła

Danuta Ławniczak

Podróż

Ja - podróżnik od zawsze - lubię
jeździć
Lubię jeździć lubię i patrzeć
Być poddaną jedynie znakom
Po swojemu widzieć widziane
Samotny jeździec - lepiej
powiedziane.

Droga nieprzebyta dziś przede mną
daleka
Jest późno rozkosze patrzenia
rozsądnie omijam
Tu...
Tu się jednak zatrzymam!

Dolina znów piękna inaczej, że cud...

Pogubione
Niesione wolnością brzegi rzeki,
Która zwykle gładką wstęgą tnie
na pól
Niezmierny układ puzzli tąg i pól
A każdy kartonik od miedzy
do miedzy
Cięty swoim odcieniem zieleni,
Swego złota próbą...

Dziś
Więcej tu piękna niż
Rozlewiskom się należy

Każda para łabędzi ma swoją
zatoczkę
Widzę je z daleka
I wiem co czują tak dzióbek
w dzióbek
Ja czuję przy sobie brak drugiego
łabędzia...

Znam to miejsce
Widziałam je setki razy
Albo tu
Albo na obrazach
W najważniejszej galerii świata
Do której jadę.

Kilka refleksji po premierze filmu „1920 Bitwa Warszawska”

ANNA FRANÇOIS-KOS

Przez przeszło miesiąc Zosia Schrotten-Czerniejewicz przekonywała mnie do organizacji brukselskiej premiery filmu „1920 Bitwa Warszawska”. Po latach przerwy w organizacji polonijnych imprez kulturalnych naprawdę bałam się tego ryzykownego przedsięwzięcia. Ryzykownego, bo zupełnie nie znałam aktualnego stanu potrzeb tego typu imprez i aktualnych kosztów administracyjno-organizacyjnych. Ryzykownego, ponieważ straciłam kompletnie kontakt z potencjalną publicznością. Ryzyka wreszcie także dlatego, że film kompletnie zniszczyła polska krytyka filmowa. Mój kielkujący zapał ochłodziła szybko konieczność niemal natychmiastowego pokrycia kosztów wynajęcia sali sięgająca, bądź co bądź, kilku tysięcy euro.

Liczyłam na wypełnienie sali na jakieś około 200 widzów. Już w pierwszych dniach po rozpoczęciu reklamy przedsięwzięcia okazało się, że zainteresowanie projekcją jest tak duże, że niemalże natychmiast zamieniłam rezerwację sali na największą w UGC De Brouckère. Z czasem, aby odpowiedzieć na potrzeby widzów trzeba było wynająć jeszcze 2 następne.

Przekrój publiczności był niezwykle zróżnicowany. Znaczną część widzów stanowili niewątpliwie Polacy mieszkający w Brukseli, były jednak liczne osoby, które przyjechały na to wydarzenie z Leuven, Antwerpii, Charleroi, Liège, Mons czy innych mniejszych skupisk polonijnych. Większość zamówień na bilety składały zresztą rodziny mieszane, gdzie tylko jeden z małżonków był Polakiem. Częstym pytaniem o język napisów filmu towarzyszyły informacje, że rezerwujący zamierza zaprosić swoich przyjaciół nieposługujących się językiem polskim. Liczne grono stanowili studenci walońscy i flamandzcy studiujący slawistykę. Wśród osób rezerwujących było sporo cudzoziemców, przede wszystkim Belgów; z zaskoczeniem odnotowałam np. rezerwację Estończyka, Irlandczyka czy Tunezyjczyka. Najmłodszy widz miał około 12 lat, najstarszy – 90! Wyjątkowo dopisała młodzież, która dzięki informacji via Facebook zwykle robiła grupowe rezerwacje, średnio na 6-10



osób. Byli obecni oczywiście przedstawiciele tradycyjnej Polonii, ale sporo było urzędników europejskich, pracowników dyplomatycznych i przedstawicieli właściwie wszystkich możliwych grup społecznych.

W rezultacie brukselska premiera odbyła się w 3 salach liczących w sumie 1100 widzów. Wzięli w niej udział realizatorzy filmu: producent Jerzy Michaluk, scenarzysta Jarosław Sokół, kompozytor muzyki Krzesimir Dębski i jego małżonka, piosenkarka Anna Jurkaszewicz, która zajmowała się przy filmie stroną muzyczną. Dzięki współpracy z działaczami kulturalnymi z okolicznych krajów, kilka dni po premierze w Holandii i Belgii, miał miejsce pokaz filmu w Luksemburgu, potem jeszcze jeden we Francji. Wszystkie odbyły się przy pełnych salach i były z pewnością dużym polskim wydarzeniem kulturalnym!

Wbrew obawom film przyjęty został świetnie przez publiczność. Świadczą o tym liczne e-maile, które otrzymałam po premierze. Dotyczą zarówno opinii o filmie jak i organizacji premiery. Oto fragmenty kilku z nich:

Proszę przyjąć wdzięczność i wyraz uznania za organizację brukselskiego pokazu „Bitwy warszawskiej” Hoffmana. Wspaniała, ważna impreza! Film ogrom-

nie wruszający i budujący, bo czyż nie piękne było to zwycięstwo, ratujące nie tylko Polskę, ale całą Europę przed bolszewicką barbarią? Ważny film i ogromnie się cieszę, że mimo oddalenia od kraju mogłam go obejrzeć w Brukseli na dużym ekranie. To Pani zasługa! Córcie film też bardzo podobał się. Była poruszona i dumna, że jest Polką. Takich filmów potrzebujemy. (A. K.)

Wielkie dzięki za zorganizowanie projekcji filmu „Bitwa warszawska 1920”. Myślę, że wszyscy Polacy powinni go koniecznie zobaczyć. (M. B.)

Film jest wspaniały, robił dużo wrażenia. Je suis allemande. Comme j'étais arrivée vers 10.00, j'avais tout le choix pour la place et je me suis mise près de la porte, alors pas de problème! Film świetny i tak dużo ludzi, więcej młodych osób. Il y avait 3 salles remplies, mais c'est incroyable! Quelle organisation, quel travail ! Ma collègue, était aussi très impressionnée. (B. T)

Z wielką przyjemnością obejrzałam dziś po raz drugi „Bitwę Warszawską” - za przyczyną Pani starań wokół tej ogromnej imprezy. Pragnę złożyć Pani tą drogą osobiste podziękowanie. Mojemu mężowi, który widział „Bitwę”



po raz pierwszy, też się ogromnie podobała, a nie jest specjalnie skory do zachwyków. Myślę, że twórcy filmu mieli swoją porcję goryczy do wypicia z powodu niezasłużonego niszczenia przez krytykę dzieła tak solidnego, nowatorskiego i błyskotliwego. (K.T.)

Gratulacje jeszcze raz, wiem że nie było łatwo ale... sukces niesamowity. Dziękuję za miły poranek, film mi sie bardzo podobał, dziękuję jeszcze raz. (A. Z.)

C'est avec grand plaisir que j'ai assisté ce matin a la projection en avant-première du film en 3D "1920 Bataille de Varsovie". Ce drame était très bien mis en scène et dynamique. J'ignore évidemment s'il reflétait la triste réalité des événements. La projection a remporté un grand succès. (R. K.)

Dziękuję za informację o filmie. Byłam dzisiaj rano z rodziną na filmie... Był wielki tłum... Nie wyobrażałam sobie, że tyle Polaków w Brukseli!!! Bardzo sie cieszę, że mogłam odkryć tę stronę historii Polski... o której tu na Zachodzie nie pamiętam, żeby nas uczyli...

Ciekawie by było, żeby na ten czas Prezydencji Europejskiej Polski, ten film o roli Polski w wybronienu Europy przeciwko tej pierwszej grozie komunizmu, mógłby być pokazywany w salach... ale czy Belgowie się zainteresują???

En tout cas, un tout grand merci (M. C.)

Gratuluje wspaniałej organizacji. Film był piękny, kilkakrotnie sie wzruszyłam... Moim belgijskim studentom też się bardzo podobał. (I. S.)

Jeszcze raz dziękuję za wspaniałe widowisko. Podziwiam za energię i organizację... (A. B.)

Bravo, 1100 bravos; autant qu'il y avait de personnes à Bruxelles pour voir „Votre film”!! (E. D.)

W imieniu swoim i swojej rodziny chciałam Pani serdecznie pogratulować świetnej organizacji całego przedsięwzięcia. Mimo, że przybyliśmy na film na krótko przed godziną jego rozpoczęcia, sprawnie zostaliśmy obsłużeni w bilety i okulary. (Z. B.)

W imieniu swoim i męża bardzo dziękuję za organizację tego wspaniałego wydarzenia. Uważam, że film był naprawdę dobry; świetne efekty, naprawdę nie odbiegające od hollywoodzkich, fajna scenografia, kostiumy... detale, super muzyka. Historia miłośna w tle... i oczywiście wydarzenia związane z bitwą 1920, postawa społeczeństwa, ukazująca pewne wartości, o których dziś tak często się zapomina, a które są niezmiennie i trwale. Dobrze, że znalazło się to wszystko w filmie, za co jestem reżyserowi b. wdzięczna. Raz jeszcze dziękuję! (J. K.)

Dzięki ślicznie za ten film. Gratulujemy organizacji. Było świetnie, film się spodobał nawet naszym gościom nie-Polakom. Dzięki raz jeszcze. (Z. W.)

Tego typu reakcje to najpiękniejsza zapłata za trud, wysiłek i czas włożony w organizację premiery. Dziękuję wszystkim!

Chciałabym także podkreślić, że rezerwacje tylko drogą elektroniczną prze-

biegały niezwykle sprawnie. Niemalże natychmiastowe płatności biletów umożliwiły kontrolę ilości publiczności i ułatwiły decyzje o wynajęciu kolejnych sal, dzięki czemu mogliśmy zaspokoić niemalże kompletnie zapotrzebowanie na bilety. Bez tak świetnej współpracy ze strony publiczności, realizacja tegoż przedsięwzięcia byłaby niemożliwa. Korzystając z okazji chciałabym za pośrednictwem „Sceny Polskiej” wszystkim widzom serdecznie za to podziękować! Dziękuję także wszystkim, którzy bezinteresownie pomagali mi przy organizacji projekcji, szczególnie w dniu premiery!

PS. Zainteresowanym polecam niezwykle interesujący tekst na temat filmu, który ukazał się w 4 numerze 2011 r. „Dekady Literackiej”. Autorem tej świetnej, solidnie napisanej recenzji jest polska poetka, pisarka i publicystka mieszkająca w Brukseli, Katarzyna Turaj-Kalińska.

AFK

Agnieszka Sadlakowska

my zakochani

dla R.J.

widzisz tę chmurę

za oknem

szaro różowa

na gasnącym niebie

za ceglanym zwieńczeniem

kamienicy miasta

w którym alchemicy laboratoria

malarze obrazy

szlifierze diamenty

ludzie biznesy

a my ponad wszystkim zakochani

Amsterdam, 11.03.2006



Niemodna poezja uwodzi



ANNA L. ZIĘBA

Co dziennie, o zachodzie słońca do godziny drugiej w nocy na fasadzie kamienicy Bracka 2 w Krakowie pojawiają się wiersze. Oszczędna forma pięciolinijkowej miniatury na stałe wrosła w architekturę zabytkowego miasta i jest dowodem na istnienie pozornie niemożliwej integracji starego z nowym. Inicjatorem „Wierszy na murze” jest poeta Michał Zabłocki, który w 2002 rozpoczął autorską akcję „366 wierszy w 365 dni” w dwóch miastach: Warszawie i Krakowie. Na stałe jednak, wiersze wdrapały się na mury już tylko w Krakowie i trzymają się ich nieprzerwanie od stycznia 2006 roku. Historia „Wierszy na murach” sięga roku 2000, w którym poeta postanowił w niekonwencjonalny sposób podejść do krzewienia kultury słowa i wyprrowadzić wiersze z kart książek w przestrzeń miejską: na mury, chodniki oraz do Internetu. Te na chodnikach są co roku, na wiosnę, malowane w większych i mniejszych miastach w Polsce.

Dla wielu Internet do Poezji ma się tak jak „Bestia do Pięknej” jednak nie dla Michała Zabłockiego – ojca eMUltipoetry:

– Skoro ludzie komunikują się dziś ze sobą w ten sposób, to nie widzę powodu, dla którego wiersze miałyby pozostać wyłącznie w książkach – tłumaczy poeta dbając z przekonaniem o popularność utworów pisanych on-line min. na czacie Multipoezja w serwisie Onet.pl gdzie tworzy wiersze wspólnie z internautami.

Powstaje eMUltipoetry – edukacyjny projekt poetycki realizowany z programu Uni Europejskiej Grundtving, który jest prowadzony przez instytucje kultury w Polsce, Niemczech Francji, Włoszech Hiszpanii i Grecji.

Niemodna poezja, w nowej szacie, nabiera atrakcyjności i zaczyna z powodzeniem uwodzić najbardziej nieczułych na urodę słowa. AZ





Dziesięć

AGNIESZKA STEUR

Dziesięć to magiczna liczba. W judaizmie i chrześcijaństwie przykazań jest właśnie **dziesięć**. Biblijne **dziesięć** plag egipskich zna chyba każdy, może nie wszystkie, ale większość. Geograficznie mamy **dziesięć** kierunków, choć to wcale nie wyczerpuje możliwości podążania za marzeniami w jeszcze innym. W buddyzmie tybetańskim znajdziemy **dziesięć** paramit, och, jak wiele mi jeszcze brakuje. Istnieje **dziesięć** wskazań postępowania według buddystów, choć nie wszystkie do mnie przemawiają, może to dowód, że daleko mi jeszcze do oświecenia. Staram się jednak wystrzegać wszystkich **dziesięciu** buddyjskich złych uczynków. W sporcie istnieje **dziesięciobój**. Jest jeszcze *De-kameron*, **Dziesięć** tysięcy uciech cesarza, to te historie bez cenzury, no i nie można zapomnieć o klasyce kryminału **Dziesięciu** małych Murzynków mistrzyni gatunku Agathy Christie.

Dziesięć minut za późno, albo za wcześnie. Niby nic takiego, a jednak czasem właśnie to stanowi różnicę.

Dziesięć lat. Okrągła data, bo zero stoi przy jedynce. Ktoś zasugerował, że dla ludzi ta liczba jest ważna, ponieważ mamy właśnie tyle palców u rąk. Coś w tym jest, bo odliczanie zawsze kończy się na palcach. Więcej, to już dobrobyt... albo przesada.

W życiu świata jest wiele **dziesiątek**. W moim trzy, ale ta ostatnia jest zdecydowanie najważniejsza.

Goethe powiedział, że wystarczy urodzić się **dziesięć** lat wcześniej, by już być kimś innym duchowo.

Kim byłam **dziesięć** lat temu?

Hmm, w pewnym sensie urodziłam się **dziesięć** lat temu, urodziłam się, jako mama. Do tamtego dnia byłam czyjąś córką, przyjaciółką, siostrą i początkującą żoną. Byłam całkiem sobą. Jednak w dniu, gdy w wielu krajach na świecie obchodzi się dzień św. Mikołaja, stałam się mamą. Dopelnienie, uzupełnienie, ulepszenie mojej osoby.

W nowej sytuacji pierwsze myśli są czasem zupeł-

nie niezrozumiałe. Przyglądałam się kilka godzin mojemu synowi, **MOJEMU SYNOWI**, i zastanawiałam się, jakim cudem istnieje, ktoś, kto ma taki maleńki nos, takie małe dłonie, takie maleńkie paluszki... **dziesięć** paluszków. Cud!

Wszystko zrozumiałe, wszystko jasne, ale taka drobinka! Nie zastanawiałam się nad sprawami duchowymi, nie myślałam o jego przyszłości ani o tym, jaki będzie. To przyszło potem. Znacznie później. Gdy już ze spokojem nauczyłam się podchodzić do pieluch, butelek i płaczu w nocy. Wtedy, tamtej nocy chciałam tylko wiedzieć, że jest zdrowy, przytulałam go i myślałam o jego maleńkości, kruchości.

Z perspektywy czasu... tej **dekady**, dostrzegam, że byłam wtedy niczym ta krużynka w moich ramionach, tak bardzo nieporadna, zagubiona w nowej rzeczywistości. Bycie mamą to poszukiwania, które chyba nigdy się nie kończą. Teraz wiem jak postępować z maleństwem, ale nadal uczyć się podejścia do dziesięciolatka. Gdy już będę wiedzieć, on będzie miał jedenaście lat i będzie dla mnie niewiadomą. To ciągła niepewność, czy stawiane przeze mnie kroki są słuszne. W kroki moich dzieci nie wątpię, widzę, że stawiają je pewnie i wkraczają w każdy dzień bez wahania pełni optymizmu. Mama zawsze się martwi i zawsze wątpi. Codziennie chcę robić coś lepiej, niż wczoraj, ale i tak jest szansa, że będzie gorzej niż jutro... To jednak brzmi optymistycznie. Gorzej, jeśli wczoraj było lepiej. W końcu **dziesiątka** to tylko liczba naturalna następująca po dziewięciu, a poprzedzająca jedenaście. Kolejny krok.

AS



Ewa Tabeau

Marzenie chłopca

Był kot, który drapał

Był pies, który gryzł.

Był chłopiec, który płakał

i wiatr co strącał liść.

Chłopiec bał się psa i kota,

zimny wiatr mu w oczy wiał,

i trapiła go tęsknota

za tym co na wieczność chciał.

A był to świat zaczarowany,

Czarny, bezbrzeżny, nieokiełznany.

Milczący ciszą, tchnący przestrzenią,

Gwiazd milionami i matką ziemią.

I był to czas zaklęty w wieczność,

Morską głębinę, gór niedostępność.

Nieodgadniony i nieodkryty,

ale przyjazny, bo już zdobyty.

Miałknął kot, szczeknął pies,

Było dobrze, tak jak jest.

Niechaj dzieci siedzą w domu

i nie wadzą nic nikomu.

Parsknął kot, udrapał chłopca.

Warknął rozszoszczony pies,

A wiatr strącił liść ostatni

Na twarzyczkę pełną łez.



SCENA POLSKA



POOLS PODIUM

W tym roku obchodzimy jubileusz 20-lecia zarejestrowanego w Delft, w maju 1992 roku Stichting Pools Podium. Stowarzyszenie, znane powszechnie jako Scena Polska w Holandii, rozpoczęło swoją działalność zaprezentowaniem we wrześniu 1992 roku przedstawienia teatralnego z udziałem Grażyny Barszczewskiej, Małgorzaty Pritulak, Zdzisława Wardejna i Marka Kondrata.

To był dla nas ogromny zaszczyt, że zechcieli do nas przyjechać, właściwie w niewiadome. Zdzisław Wardejn w wywiadzie telewizyjnym powiedział, że był regularnie w Holandii jako wykładowca w Toneel Academie w Maastricht, ale nie sądził, że jest w Holandii jakaś Polonia. Był zdumiony obecnością tak licznej publiczności na spektaklach. Publiczność polonijna w Bredzie, Eindhoven, Hadze i Utrechcie przyjęła aktorów owacyjnie. Ta sytuacja sprawiła, że postanowiliśmy kontynuować naszą działalność, na którą od tej pory czekali widzowie w całej Holandii.

Zapraszaliśmy więc kolejne zespoły teatralne, organizowaliśmy przedstawienia w kolejnych miastach: Nijmegen, Kerkra-

XX lat Sceny

de, Landgraaf, Rotterdamie, Amsterdamie, Arnhem, Delft itd. Przychodziła na nie coraz liczniejsza publiczność, przyjeżdżała Polonia z Niemiec, Belgii, Luksemburga, a zdarzało się, że mieliśmy na widowni też Polaków z Australii i Kanady.

Dzisiaj na przedstawienia oraz inne imprezy organizowane przez Scenę Polską w Holandii przychodzi coraz więcej młodzieży i obcokrajowców (staramy



Czesław Niemen w Delft Fot. archiwum SPP

się tłumaczyć nasze oferty kulturalne na język angielski i niderlandzki). Nadal utrzymuje z nami kontakt liczna grupa widzów, która pamięta pierwsze imprezy oraz tacy, którzy „zaliczyli” wszystkie. Chcemy naszym przyjaciółom za to po-



XV-lecie Sceny Polskiej – teatr De Veste w Delft

dziękować. Napiszcie do nas, przyslijcie swoje wspomnienia, podzielcie się anegdotami i pochwalcie zdjęciami.

Mieliśmy przez te 20 lat okazję do osobistych spotkań z największymi gwiazdami polskiej sceny dramatycznej, ekranu, estrady i sal koncertowych. Wielokrotnie występowali w Holandii, co było dla nas ogromnym wyróżnieniem i uznaniem: Krzysztof Kolberger, Jerzy Stuhr, Marek Kondrat, Zdzisław Wardejn, Grażyna Barszczewska, Ewa Dałkowska, Anna Dymna, Jan Englert i wiele innych sław. Z dwoma koncertami wystąpił na nasze zaproszenie sam wielki



„Pan Tadeusz” w Holandii

Fot. archiwum SPP



Aktorzy: Małgorzata Pritulak, Zdzisław Wardejn, Grażyna Barszczewska i Andrzej Lajborek na XV-lecie Sceny Polskiej

Fot. archiwum SPP



Polskiej w Holandii



Fot. archiwum SPP



Jerzy Stuhr w Hadze

Fot. archiwum SPP

Czesław Niemen. Czy można marzyć jeszcze o czymś więcej?

Tak, Scena Polska marzy, że magia teatru będzie nas nadal inspirowała i w dobie wirtualizacji kultury, sale teatralne i kinowe będą nadal miejscem naszych tradycyjnych spotkań ze sztuką i że będziemy się nadal nawzajem wspierać: widzowie – artyści – organizatorzy. Cieszymy się z tego, co wspólnie przeżyliśmy i spotykamy się dalej w zaczarowanym świecie sztuki.

ZOFIA SCHROTEN-CZERNIEJEWICZ
ZAŁOŻYCIELKA STICHTING POOLS PODIUM

W smakowaniu beztroskiego czasu

Jestem w Rzymie. Pora na drugie śniadanie. Plac, na którym scenę do swojego najnowszego filmu kręcił Woody Allen, w zaskakująco szybkim tempie zapełnił się głodnymi Rzymianami. Zrobiło się tłoczno i nieznośnie gwarno. Ile oni gadają, ile gestykulują, ile jedzą....

Ale co się dzieje? Gdzie ja jestem? Jakim cudem? Smak ugryzionego krakersa z masłem orzechowym przeniósł mnie na taras w Nowej Róży! Wracam do wspomnień z warsztatów filmowych Sceny Młodych. Jest parno. Powietrze wydaje się ciężkie. Czuję na skroniach i policzkach delikatny powiew świeżego zapachu, wypranych przed chwilą w lodowatej wodzie, pstrokatych tkanin. Mają nam pomóc przetrwać upał, niemalże nie do zniesienia. Dookoła wszystko jest wyschnięte. Rośliny, skurczone z pragnienia, błagają o choćby łyk

wody. Zmęczone powietrze nie ma siły się poruszyć. Słychać jedynie wiatr, delikatnie łaskoczący korony drzew. Jesteśmy ociężały i spuchnięci po wybornym, ale i nadto obfitym obiedzie pani Zosi, który z sukcesem odtworzyła po powrocie ze swej szalonej podróży do Chin. Leżymy z przymkniętymi od błogości powiekami. Otula nas cisza, której nikt nie chce odpędzać. Jeszcze chwilę, jeszcze kilka sekund. Jest tak przyjemnie. KONIEC tego dobrego! Idziemy grać w siatkówkę! Wszyscy się zerwali. Jakim cudem znaleźli w sobie tyle energii? Ojoj... Dopiero teraz zauważyłam, że mam na ręce gips. Dam radę. Robiłam to przecież 3 lata temu. Nagle Róża odżywa. Wszyscy biegają, skaczą, krzyczą, śmieją się. Zdenerwowana lub po prostu rozochocona - tego nigdy nie potrafię określić - piesek Pepsi biega

dookoła boiska, usiłując namówić kogoś na zabawę zniszczoną do cna piłką tenisową. Czy ktoś się nad nią zlituje? Biedny psinek. Musi poczekać, ponieważ zachodzące słońce właśnie zawołało nas do lasu. Trzeba nakręcić ostatnią scenę filmu. Wszyscy posłusznie i jakże profesjonalnie przygotowują się do pracy. Kamera, statyw, aparaty fotograficzne, stroje, kosmetyki, scenariusz, lampy... wszystko spakowane. Udało się. Jeszcze kilka przebitok... i gotowe! Wracamy. Subtelny chłodek wieczoru przekonuje nas, by rozpalić ognisko. Robi się gorąco. Ciepło ognia zamazuje kontury. Wszyscy mają wypieki na twarzach. Wycieńczenie czy może alkohol, który skutecznie rozluźnił zmęczone dniem mięśnie? Jest gitara,



Ewa na warsztatach Sceny Młodych w Nowej Róży

Fot. ZSCz

śpiewamy, śmiejemy się, żartujemy. Co jakiś czas odpyła do świata snów. Gdy ostatnia przytomna jeszcze osoba nie decyduje się dorzucić drewna, by palenisko nie dogasło, postanawiamy, ostatkiem sił, wspiąć się stromymi schodami na mieszkalne piętro stodoły. Łóżka, nie pościelone po ostatniej nocy, gotowe są nas od razu przysparzać. Dzięki im za to. Myśli zaczynają się kłębić. Stają się coraz lżejsze i fantastyczne. Usypiam.... Budzik? Nie. Kogut? Nie. To pani Zosia krząta się po ogrodzie gwizdząc wesołą melodię. Wszyscy jeszcze śpią. Uwielbiam obudzić się pierwsza, by móc choć przez chwilę posiedzieć sobie pod, uratowanym przed szrotówką kasztanowcowiaczkiem, kasztanem i pomarzyć nieco. Co się dzieje? Nie! Proszę. Nie chcę wracać. To był ostatni kęs krakersa.

Znowu jestem na Piazza Ricci. „I zaczynam pytać się na nowo, co to może być ów nieznan stan, nie przynoszący żadnego logicznego wytłumaczenia, ale przynoszący oczywistość szczęścia, rzeczywistości, wobec której inne nikną”.

Znowu jestem na Piazza Ricci. „I zaczynam pytać się na nowo, co to może być ów nieznan stan, nie przynoszący żadnego logicznego wytłumaczenia, ale przynoszący oczywistość szczęścia, rzeczywistości, wobec której inne nikną”.

EWA ZIMMER
SCENA MŁODYCH – JONG PODIUM

Zimowo-wiosennie w niepewnych nastrojach



MAREK GRĄDZKI

Rolnik sam sobie swój los wybrał. Ma warsztat pod gołym niebem, to i narzekać mu nie sposób. Raz tak, raz siak a biednemu zawsze wiatr w oczy. Nie bez kozery tak piszę. Aura nas nie pieściła. Najsamprzód pozór dawała, że zimy to w ogóle w ten czas nie będzie. W styczniu krzewy pączki puszczały, w lasach grzyby można było zbierać, krety zubrowały jak te głupie. Aż tu nagle jak nie walnie, jak nie łupnie, rekordami zimna w oczy nam zaświeciło. To i teraz nie wiada jak rzepak przeżył, jak się mają zboża. Może jeszcze płakać przyjdzie nad zmarnowaną pracą. Ale masz coś chciał Grzegorz Dyndało, to i nie rycz, zęby zaciśnij i do przodu patrz. Na te smutki zrobiłem sobie i rodzinie piersi kurzące zmacerowane w pesto. Najpierw masa czyli świeże listki bazylii, garstka, do tego także pietruszki, potem cztery ząbki czosnku, szczypta soli i dwa grube plastry żółtego sera, może być Gouda, zmiksować w szklance przedniej oliwy i tym mięso natrzeć. Niech tak sobie odpoczywa przez godzin kilka. Gdy nadejdzie czas posiłku pokroić piersi wzdłuż na dwa palce, dobrze obtoczyć w maceracie i wrzucić na głęboki olej, może być słonecznikowy, arachidowy lub ryżowy. Niech sobie z piętnaście minut poskwierczy i można wydawać z ziemniaczkami i sałatą z rukoli i innych listków sosem winegret skropionych. Zaręczam Wam danie godne najlepszych stołów i pochłonięte w mig zostanie. Gdy jeszcze posiłek ukoronowany zostanie moim nowym wynalazkiem, czyli serem z włoskimi orzechami, kieliszkiem dobrego, czerwonego Sauvignon więcej nic nie potrzeba. Można lepiej patrzeć w przyszłość.





Rozdarci

„Where are you from?”



NATALIA SCHROTEN

Proste pytanie – prosta odpowiedź. Czyżby? Od ponad sześciu tygodni podróżuję razem z mamą po Azji. Zwiedziłyśmy Tajlandię, Laos, Malezję, a obecnie jesteśmy w Indiach. Spotykamy wielu ludzi z różnych zakątków świata. Z Niemiec, Włoch, Francji, Rosji, Stanów, Kanady, Australii... Jedno z pierwszych pytań zawsze brzmi: „A skąd jesteście?”.

No tak, proste pytanie. Pytanie w stylu „Jaki jest twój ulubiony kolor?” Proste pytanie – prosta odpowiedź. A więc odpowiadam: „Z Holandii” – i się uśmiecham. Widzę zdziwienie w oczach rozmówcy. Widzę, jak myśli. No tak, zapomniałam. Przecież słyszałam, jak rozmawiam z mamą w innym języku, niż holenderski. Zaczynam od nowa: „Z Holandii, ale mama pochodzi z Polski”. Ok, rozmówca już zaczy-

na układać puzzle w głowie, ale nadal widzę znaki zapytania w oczach. Próbuję jeszcze raz: „Urodziłam się w Holandii, mama jest Polką, tata Holendrem. Mieszkałam 18 lat w Utrechcie, na studia, które ukończyłam w lipcu ubiegłego roku pojechałam do Polski, a teraz jestem tu.” Patrzę na rozmówcę. Pojawia się błysk w oczach. Zaczyna kiwać głową. Chyba zrozumiał.

Czyżby? Czy osoba znająca mnie kilka minut rozumie w jakiej jestem sytuacji?

jesteśmy białe, że pochodzimy z dalekiego kraju i że (prawdopodobnie) mamy dużo więcej pieniędzy niż oni.

Gdy mama odpowiada: „I’m Polish”, często pojawiają się wielkie oczy. Nie rozumiałam, co ich tak dziwi, ale już wiem. Myśleli, że mama jest z „policji”, z policji. Aby nie wprowadzać w błąd pytających, mama odpowiada: „I’m from Poland”. Gdy ja odpowiadam „I’m Dutch” też nie każdy rozumie, o co chodzi. Próbuję „Ne-



Na farmie w Indiach

fol. ZSCZ

Osoby z Europy jeszcze są mniej więcej w stanie zrozumieć. Znają Holandię, znają Polskę. Ale większość tubylców nie rozróżnia „Poland” od „Holland”. Wiedzą, że

therlands”, próbuję „Holland”, jeżeli to też nie działa, mówię „Europe”. Tak, to rozumieją wszyscy.

A więc będąc w podróży moje ‘rozdarci’ między dwoma krajami, dwoma kulturami, się nieco zmieniło. Chyba zrozumiałam, że teoretycznie jestem Holenderką, ponieważ tam się urodziłam i wychowałam, ale płynnie we mnie polska krew. Będąc tak daleko od domu rozumiałam, że nie tęsknię tylko za holenderskim serem, ale również za polską kiełbasą, nie tylko za wiatrakami, ale również za lasami i grzybami, nie tylko za przyjaciółmi w Holandii, ale również za przyjaciółmi w Polsce. Jestem ‘pół na pół’. Bez względu na kraj i kontynent, na którym jestem, bez względu na język, którym się posługuję, zawsze będę 50-50. Czas przestać zastanawiać się nad wyborem, gdzie lepiej czy gorzej. Czas zrozumieć, że wybór między dwoma domami jest podobny do wyboru między dwójką swoich dzieci. Trzeba kochać tak samo, po równo, 50-50.



Z Mikiem i Susanną ze Stanów Zjednoczonych w Tajlandii

Fot. ZSCZ



ŻARTY NA STRONIE

Organ niepoważny Andrzeja Niczyperowicza



DWA JĘZYKI – DRUGI W BUCIE

Polskim politykom możemy mieć wszystko za złe, ale jedno pozostaje u nich bezwzględnie cenne – że są różni. Nie ma już tego – jak za wczesnej demokracji – jedyne gospodarza języka z całym bogactwem błędów językowych i szkaradziństw w rodzaju „na dzień dzisiejszy”. Ale nadal „ja umie”, jak zawsze mówi poseł Franciszek Stefaniuk. Polonistka, Julia Pitera przeraża i straszy, gdy „cofa się wstecz”, „kontynuuje dalej” czy „wraca z powrotem”. Wśród wszystkich sejmowych ław grasuje też wirus o nazwie „w cudzysłowie”. Innym jest niewłaściwe używanie przymiotnika „spolegliwy” na określenie kogoś uległego. Cała nasza bezkłasa polityczna nie sięga do literatury czy kultury wysokiej. Odwołuje się co najwyżej do prostego dydaktyka Baki, bogoojczyźnianej Konopnickiej albo przasnego Sienkiewicza. Tymczasem Piłsudski potrafił cytować Beniowskiego całymi oktavami. Po naszych politykach spodziewać się można co najwyżej jakiegoś cytatu z Big Brothera czy ze strof zespołu „Ich Troje”.

WIELKI SUKCES PŁYWAKÓW

Na Mistrzostwach Europy w Baden Baden nasi pływacy odnieśli wielki sukces – żaden z nich się nie utopił.

Na zdjęciu: Ostatnia akcja naszego zawodnika.



OBSERWACJE NIEBIESKIE

W kilku miejscowościach Wielkopolski po raz czwarty w tym roku pojawił się na niebie napis UFO. Ciemnowiśniowy napis o kroju czcionki zbliżonym do helwetiki był widoczny nad Chodzieżą około pół godziny. Napis był doskonale widoczny, zachowywał się spokojnie i obserwował okolicę. Po trzydziestu minutach oddalił się w kierunku Obrzycka.

OPOWIEŚCI STASZKA

Ojciec miał starego jak świat poloneza. Kiedyś popił i wracał tym polajem do domu przez

łąki i pola. Zarył się fatalnie w zaoranych bruzdach, więc poszedł na nogach do domu i walnął się do łóżka. Rano wstaje, patrzy przez okno, a tu przed domem stoi jego zardzewiały i poobijany polonez.

Wierne auto samo za nim przyjechało...

ZAGADECZKI Z INNEJ TECZKI

– Dlaczego Krzyżacy przegrali pod Grunwaldem? – Bo mieli w przeddzień paradę równości – odpowiedział w miarę poprawnie nasz stały Czytelnik z Krasnegostawu.

Za tę propozycję należy się mu premia w postaci prawidłowej odpowiedzi na pytanie: – Jak ma na imię żona Herkulesa?

Oczywiście – Frauherkules.

TRAKT KAMIENISTY

Z wielkim zainteresowaniem przyjęli mieszkańcy Parzęczewa Dolnego propozycję wójta, Władysława Pudry, wybrukowania głównej ulicy kostką kamienną, bo brukiew położona jesienią nie sprawdziła się należycie.

Z HISTORII

Ludwig van Beethoven był tak głuchy, że aż do samej śmierci był przekonany, iż jest malarzem.

OPOWIEŚCI PIEKIELNE

Goście po śmierci trafił do piekła. Przechodząc obok piekielnych otchłani, wypełnionych krzyczącymi grzesznikami, spostrzegł znanego z bezkompromisowości prokuratora generalnego, tulącego się do pięknej kobiety.

– To niesprawiedliwe! – krzyknął – Ja muszę smażyć się całą wieczność, a ten zakłamaniec spędza ją z piękną kobietą.

– Zamknij się – warknął diabeł klując gościa widłami – Kim jesteś, aby kwestionować karę tej kobiety?

SYJONIŚCI DO SYJAMU

W Styrzopahydane (Syjam) urodzili się dwaj bracia syjamscy. Młodszy z nich o trzy lata Staszek zapisał się na prawo, starszy – Zbyszek – przeszedł już na zasłużoną emeryturę.

Matka braci syjamskich czuje się dobrze.

NIEZNANY FRAGMENT CZERWONEGO KAPTURKA

– Babciu, a dlaczego ty masz takie duże mięśnie?

– Bo pracowałam w Biedronce...

ŻART NOWORUSKI:

– Stary, jaką sobie furę kupiłem; ma wszystkie najnowsze wypasy, dwa telewizory, pozłacana...

– Taaaak, a ja sobie kupiłem Wołgę.

– Wołgę?! A po cholere?

– Jak to, po cholere? Będę sobie po niej jachtem pływał.

SPOSÓB NA KACA

47-letni Hans Mielke, będąc w stanie wskazującym na spożycie sporej dawki alkoholu, przedostał się późnym wieczorem na wybieg drapieżników w berlińskim ZOO i zaatakował potężnego tygrysa bengalskiego – Tigra. Obudzeni przeraźliwym rykiem dozorczy zdołali uratować z pijackich obłapek zmaltretowanego Tigra.

– Chciałem zlikwidować katza – tłumaczył się pokrętnie Mielke.

Sąd zakazał mu dożywotnio picia lub wstępu do ZOO.

MYSZ I KOT

(nowelka językoznawcza)

Mysz siedząca w swojej norce medytowała czy bezpiecznie może wkraść się do kuchni i uraczyć się smakowitymi okruszynami. Wtedy usłyszała z kuchni szczekanie psa.

– Skoro t a m jest pies – pomyślała mysz – to na pewno nie ma t a m kota.

I śmiało wybiegła z norki. Natychmiast złapał ją przyczajony kot. Po śniadaniu otarł wąsy i rzekł z przekonaniem:

– Warto znać obce języki...

PIOSNKA LUDOWA

Siała baba mak,
bo lubiła kompot.
Siała baba mak,
dostała dziesięć lat.

KĄCIK PORAD

– Co zrobić, żeby mleko nie traciło świeżości?

– pyta młoda, gospodarna Hela ze Żnina.
– Należy je, droga Helu, przechowywać w krowie.

WIELKANOCNY ZAJĄCZEK

W tym roku zajaczek do nas nie przykiwał.





Biografia gwiazdy

JERZY SKOCZYŁAS

G. – Gwiazda

L. – Literat

G. Hej, to pan jest tym znanym literatem?

L. Dzień dobry, owszem, jestem literatem, ale czy znanym... nie śmiałbym tak o sobie powiedzieć.

G. Mój kolo menago mówił, że jest pan znany.

L. Bardzo przepraszam, kto?

G. Menago, mój kolo, chyba mówię wyraźnie po polsku?

L. Że wyraźnie to się zgadzam, ale czy po polsku? Domyślam się, że chodzi pani o jej kolegę menagera?

G. Wreszcie dziadek się zorientował.

L. Czyj dziadek?

G. O panu mówię.

L. Dziękuję, bardzo pani miła. Faktycznie, przypominam sobie, dzwonił do mnie niejaki pan Bramuła.

G. Git! Ale żaden niejaki tylko Zyga, mój menago, Zyga Bramuła. E, to z dziadkiem nie jest najgorzej, jeszcze skleroza go całkiem nie zresetowała.

L. Skoro już wstępne grzeczności mamy za sobą przejdźmy do meritum.

G. Co się stało?

L. ... przepraszam, przejdźmy do rzeczy.

G. No, teraz mówisz pan jak człowiek. Otóż taki inny kolo, od książek, chce żeby napisała swoją ... on to jakoś tak nazywał ...

L. Biografię.

G. Zgadza się. E, bystry jesteś staruszk. Bramuła sygnie ci kasą, ty mi napiszesz, żeby było jak się należy, a ludzka się na to rzuci. Zrobi się promocję po galeriach handlowych i pójdzie jak woda. No to lecmy z tą jak jej tam?

L. Biografią. Skoro już przyjąłem to zlecenie, to muszę uzyskać od pani pewne informacje.

G. A po co ja przyszedłam? Właśnie po to! Przecież nie po to, żeby się bzykać.

L. Słucham?



G. Słuchaj, słuchaj staruszk, a ja ci wszystko opowiem, ok?

L. Ok. To znaczy zgoda. Proszę mi powiedzieć, kiedy i gdzie się pani urodziła?

G. O „kiedy” nie mówimy, Zyga zabronił, jasne? A jeżeli się rozchodzi o „gdzie” to po prawdzie w Pieckach koło Supraśli, ale Zyga mówił żeby było napisane, że w Warszawie.

L. Rozumiem. Jak minęło pani dzieciństwo?

G. Jak to jak? Normalnie! To się zjadłam, to sfajdałam, jak to dzieciak. To coś zjadłam, to wypięłam, to pawia puściłam... co, nie był pan szczeniakiem?

L. Chodzi mi o jakieś szczególne, charakterystyczne wydarzenia, proszę sobie przypomnieć.

G. No nie ... nie mam nic takiego. O, raz mi lizak wypadł do piachu i rzycałam.

L. Lizak. A lata szkolne?

G. Co lata szkolne? W szkole jak w szkole: lekcja, przerwa, lekcja, przerwa. Zresztą, ja tam za dużo do tej szkoły nie chodziłam, nudno było.

L. Pytam o przeżycia, które jakoś zapisały się pani w pamięci.

G. Nie mam nic takiego. Chociaż mam. Na mojej osiemnastce ostro popięłam i się najarałam, a potem całą noc rzycałam.

L. To wszystko?

G. No.

L. Czyli okres tych osiemnastu lat z pani życia możemy zamknąć tym, że wypadł pani lizak i że miała pani torsje po osiemnastych urodzinach?

G. Żadne torsje, rzycałam jak kot.

L. A kiedy zainteresowała się pani muzyką?

G. Jak Zyga mnie dorwał i powiedział, że mam taki cyk i tyłek, że zrobi ze mnie piosenkarke. I zrobił.

L. Wybacz pani, ale pani warunki fizyczne, atrakcyjne nie przeczę, są sprawą drugorzędną, pytam o pani zainteresowania i fascynacje muzyczne.

G. Ja tam nie wiem, ja lecę z pełnego playbacku. Zyga tym kręci.

L. Chciałbym wiedzieć, jak dobiera pani repertuar?

G. Więc tak ... wkładam taką krótką kieckę nabijaną ćwiekami, tu mam rozcięte, tu wycięte, szpile na obcasach, playback start i lecimy!

L.... i to wszystko?

G. Wszystko. No, muszę lecieć, dziś tniemy sztukę w Wolbromiu, a to kawalek.

L. I przypuszcza pani, że ja na podstawie tych danych napiszę pani biografię?

G. Musowo, przecież jesteś pan literat. Aha, Zyga mówił żeby było gotowe za tydzień i żeby było minimum siedemdziesiąt stron.

L. Siedemdziesiąt stron?

I. No, bo jeszcze będzie piętnaście moich zdjęć, prawie na golasa. Pójdzie jak woda. Zobaczysz staruszk. Muszę spadać, ciao!

L. Ciao! To znaczy do widzenia pani.

G. Aha, i tu jeszcze ode mnie dla pana moja ostatnia płyta, z autografem.

L. Dziękuję, a co na niej jest?

G. Ja tam nie wiem, ja lecę z playbacku.

Kameralne jest wielkie!

Aby tworzyć kabaret, nie trzeba być wcale śmiesznym na weselach – mówi Maciek Wiśniewski, współtwórca kabaretu OTOoni oraz improwizacyjnego KWIKu. – Trzeba czuć, co może rozbawić publiczność. To samo robią jednak kabareciarze których znamy z telewizji. Co więc różni wrocławskie kabarety od telewizyjnych? Przede wszystkim to, że ich występ jest całkowicie zaimprovizowany. Nie ma scenariusza, powtarzalnych kwestii. Nie usłyszymy też już ponownie żadnej z odegranych scenek.

Dzięki temu improwizacyjna scena kabaretowa zdobywa we Wrocławiu coraz większą popularność i uznanie. Mamy u siebie jedną z najlepszych grup. To Kameralna Wielka Improwizacja Kabaretowa, czyli KWIK – sprawiają, że na ich występach publiczność zaśmiewa się do rozpuku by w końcu kwiknąć ze śmiechu.

To co pokazujemy, to jest totalny „spontan” – tłumaczy Wiśnia. – Trzymamy się jedynie pewnych zasad. Nie przygotowujemy tekstów w domu. Na próbach „ogrywamy” jedynie scenki na zasadach na jakich później są przedstawiane publiczności – tak aby podczas występu każdy z aktorów dobrze je znał, aby trzymać w ryzach scenkę. W innym wypadku mógłby być niewypał, a nie śmiech.

Z improwizacją jest trochę tak, jak z randką w ciemno – naprawdę jest „w ciemno”, osoba zgadująca nie wie, kogo wybiera. Mamy na przykład taką scenkę, która nazywa się *Konferencja prasowa*, opowiada Maciek. – Jeden z aktorów jest gospodarzem konferencji prasowej lecz nie wie w jaką konkretnie osobę publiczną się wciela. To publiczność decyduje, kogo chce zobaczyć, a naprowadzić mogą go na to pytania innych kabareciarzy. Gdyby to było zaaranżowane – nie byłoby wcale śmieszne! Śmieszność bierze się z niespodzianki – tak samo dla nas, aktorów, na scenie, jak i dla publiczności. My sami jesteśmy zaskakiwani kreacjami naszych kumpli na scenie, co zresztą widać podczas występów.

Być może dlatego czasami scenki sięgają granicy „dobrego smaku”. Czasami trudno jest odciąć się od przekleństw – opowiada Wiśnia. Jednak nasi improwizatorzy prędko wracają do błyskotliwego dowcipu. To jest po prostu większe wyzwanie, niż proste dodawanie przekleństw, uważa Maciek. – Nie warto iść po linii najmniejszego opo-

ru. A taka „brudna” pointa, tzw. „gruz” jest wszędzie, w telewizji, na festiwalach.

I choć od września ubiegłego roku wyrosło dużo konkurencyjnych imprez kabaretowych, to KWIK jest zdecydowanie jedną z największych i najbardziej popularnych, nie wliczając w ten rachunek kabaretów z telewizji. Właśnie dzięki improwizacjom zwiększa się świadomość, że istnieją jeszcze inne kabarety, dostępne na żywo, w naszym mieście.

Scena improwizacyjna w Polsce jest bardzo zróżnicowana – opowiada Wiśnia. W Krakowie działa grupa Ad Hoc, w Warszawie Klancyk. Najstarsza i bardzo dobra grupa pochodzi z Trójmiasta, to W Gorącej Wodzie Kompany. Wszystkie KWIK gościł we Wrocławiu na bitwach improwizacyjnych. Łączy je przede wszystkim to, że ludzie przychodzą po nową niesamowitą dawkę rozrywki.



We Wrocławiu wszystko zaczęło się już niemal pięć lat temu, na pewnej imprezie sylwestrowej. Improwizowanie szło tak dobrze, że nawet potrafiłem grać na gitarze. Niestety na drugi dzień ta magicznie nabyta zdolność – zanikła, wspomina Wiśnia. Kilka miesięcy później współtwórca kabaretów Kabaretu nic nie szkodzi i OTOoni, zaimprovizowali kilka skeczy dla znajomych, co okazało się tak dobrą zabawą, że wkrótce zorganizowali występy w studenckim klubie Bajer na Wittigowie. Następnie przenieśli się do większego klubu Ośrodek przy Teatrze Muzycznym Capitol, a gdy i tam sala pękała w szwach przyjął ich pod swój dach ośrodek Firlej, słynny przyczółek wrocławskiej awangardy i wszelakich działań artystycznych. Tam też od kilku lat z powodzeniem bawią ponad dwuosobową publiczność i jak mówią – jest to dla nich zaszczyt i ogromna radość.

Czy spotykają się też prywatnie? Jedyłą znaną mi sporą grupą, która spotykała się prywatnie było 11 apostołów – śmieje się Wiśnia. – Ciężko spotkać się prywatnie

w dziewięć osób, lecz oczywiście utrzymujemy bliską znajomość, spotykamy się w „podgrupach”. Poza tym znamy się dobrze od wielu lat, przyjaźnimy się nawet od szkoły podstawowej, są różne związki i dużo ząbających się historii. Ja swoją żonę też podrywałem na kabaret. A poznałem ją na wyjeździe klasowym z kumplami z kabaretu. Ta nasza „kabaretowa moda na sukces” trwa od 2003 roku, gdy odbył się pierwszy występ kabaretu OTOoni, który aktualnie współtworzy KWIK – podlicza Maciek.

W ciągu ostatniego roku wokół KWIKa utworzyła się społeczność, która z niecierpliwością wyczekuje każdego kolejnego spotkania. Klub Firlej także zaczyna pękać w szwach, a kabareciarze starają się zapewnić swojej publiczności rozrywkę nie tylko raz w miesiącu. Dlatego pojawiły się Kabaretowe Pojedynki Improwizacyjne *Oko w Oko*, KWIK zaczął również występować w klubie Nietota przy ul. Kazimierza Wielkiego. Jest jeszcze bardzo dużo gier, których nie graliśmy przed wrocławską publicznością jak np. *Zaskakujące nakrycia głowy*, czy *Program telewizyjny w ciemno* – zapowiadają.

Od nastroju publiczności w dużej mierze zależy występ. Czy zatem istnieje ryzyko, że któregoś razu zdarzy się grobowa atmosfera? Nie. Zawsze zaczynamy od wyciągania tej pozytywnej energii od widowni i zawsze się rozkręca – mówi Wiśnia

Bo KWIK to mieszanka wybuchowa. Dziewięć osób, z rozpoznawczym krawatem na szyi, które w każdej chwili są w stanie sygnalizować „z rękawa”, „kapelusza”, czy choćby „wysać go z palca”. Mają i doświadczenie sceniczne i w tworzeniu tekstów. Wszystko to jednak oddają publiczności, która pisze scenariusz wieczoru. Jak mówią: występy dzięki bezpośredniemu kontaktowi widzów z aktorami mają kameralny klimat, a dzięki pomysłom jakie na tej drodze powstają stają się wielkie. To właśnie Kameralna Wielka Improwizacja Kabaretowa.

Czy zatem na naszych oczach tworzy się historia? To się okaże. Na pewno można już na ten temat poimprowizować. Zapraszamy do Wrocławia.

O wrocławskich kabaretowych grupach improwizacyjnych oraz o tym, jak się zostaje kabareciarzem, ze współtwórcą grupy improwizacyjnej KWIK, Maciekiem „Wiśnią” Wiśniewskim rozmawiała KINGA REKAWICZNA.



Azjatyckie Polonica

– Jacek Bromski, Stanisław Wenglorz, Jerzy Dudek

ZOFIA SCHROTEN-CZERNIEJEWICZ

Od kilku tygodni podróżuję po Azji jako obywatelka Królestwa Niderlandów. Ale przedstawiam się jako Polka mieszkająca w Holandii. Wydaje mi się, że Holendrzy nie są tutaj czymś wyjątkowym, natomiast moja polskość jest jakimś „kluczem towarzyskim” w nawiązywaniu kontaktów i poruszaniu nietypowych tematów. Opiszę cztery sytuacje, które bardzo mnie wzruszyły.

Spotkanie z Suko

W drodze z Bangkoku do Chiang Mai zatrzymałyśmy się z córką w małej miejscowości Ayutaya. Pożyczyłyśmy rowery i ruszyłyśmy na zwiedzanie wsi – miasteczka. Po drodze, przy rozwidleniu ulic zagadał nas rowerzysta szukający na mapie „swojej” drogi. Gdy mu się przedstawiłam, zagadał do mnie po... polsku. Parę zdań, ale jakie było nasze zdziwienie? Student z Indonezji (myślałyśmy, że Tajlandczyk) przyznał sam, że miejscowi go też nie odróżniają i zwracają się do niego w swoim języku,



Spotkanie z Suko

Fot. ZSCz

który w Dżakarcie spotkał polskich studentów. Oni „nauczyli go polskiego”. To mnie nie zdziwiło, ale gdy zaczął wymieniać tytuły polskich filmów, które ostatnio oglądał, to zbaraniałam: „Sala samobójców” Jana Komasy, „Erratum” Marka Lechkiego i najnowszy film Jacka Bromskiego „Uwikłanie”. Nowe polskie produkcje! Ale i klasyka polskiego filmu nie miała dla Suko tajemnic. Na co dzień studiuje chyba ekonomię, a filmy ogląda, bo lubi. Zwłaszcza polskie, uważa je za najlepsze! „Musicie odwiedzić Dżakartę” – zapraszał gdy się zegnaliśmy.

Stanisław Wenglorz w Kuala Lumpur

To naprawdę niezwykle. W centrum stolicy Maleszji, na środku przejścia dla pieszych przy ruchliwym skrzyżowaniu



Mirka i Staszek Wenglorz w Kuala Lumpur

Fot. ZSCz

mignęła mi znajoma postać. Padał ulewny deszcz, niespotykane w porze suchej, a jednak. Na dodatek wieczór i dosyć ciemno. Zawołałam: Staszek! Zatrzymał się i odwrócił. Wpadliśmy sobie w objęcia, nie widzieliśmy się ponad 10 lat. Staszek Wenglorz – muzyk, wydawca polskojęzycznego tygodnika „Info&Tips” w Niemczech, na stałe mieszkający we Frankfurcie nad Menem. Bywał częstym gościem na imprezach Sceny Polskiej w Holandii. Nigdy nie dał się namówić na zaśpiewanie u nas choćby jednego swojego przeboju np. „Nie widzę Ciebie w swych marzeniach”, ale jego płytę puszczałyśmy często na naszych spotkaniach towarzyskich. Potem jakoś się nasz kontakt urwał. „Staszku, musisz przyjechać na nasz Jubileusz 20-lecia do Holandii” – przekazuję zaproszenie, w sercu Maleszji. „Do zobaczenia!”

Olivia o Jerzym Dudku

Lubię ludzi zakręconych. Szanuję ich pasje. W Maleszji spotykamy młodą, filigranową Indonezyjkę – Olivię. Jest dziennikarką stacji telewizyjnej z Dżakarty i fanką drużyny piłkarskiej z Liverpoolu. Przyjechała do Kuala Lumpur specjalnie na spotkanie z Ditmarem Hamannem. Miała nadzieję, że spotka tutaj też Jerzego Dudka, byłego bramkarza jej ulubionego zespołu. Wy-



Olivia z Dżakarty

Fot. ZSCz

pytywała co obecnie robi, gdzie mieszka. Dzieliłam się z nią wiadomościami z Polski, mówiłam o Euro 2012. Cudem, znalazłam w komputerze zdjęcie ze spotkania z Jerzym Dudkiem w Hadze. Olivia z kolei rozłożyła na podłodze flagę klubu z podpisami zawodników. Z dumą pokazywała książkę z dedykacją Hamanna, którą dzisiaj od niego otrzymała. Promieniała! Wyglądała na bardzo szczęśliwą. Ludzie z pasją. Olivia planuje przyjazd do Holandii, może do Polski? Chciałaby być na koncercie ulubionego zespołu „Coldplay” w Warszawie. A może udałoby jej się spotkać Jerzego Dudka, byłego bramkarza Liverpoolu i zdobyć kolejny autograf na fladze klubu?

Śladami Polonii na świecie

W Kuala Lumpur zaciekał nas przechodzący ulicą mężczyzna w koszulce z orłem i napisem „Polska”. Zagadałyśmy go. Okazał się bardzo interesującą postacią. Ryszard Tunkiewicz ze Szczecina podróżujący



Ryszard Tunkiewicz

Fot. ZSCz

z Jackiem Michalskim z Warszawy wybrali się we wrześniu ub. roku w podróż przez 6 kontynentów pt. „Śladami Polonii na świecie”. Swoje przeżycia opisują na stronie www.podroz-marzen.pl Zamierzają w ciągu 2 lat okrążyć Ziemię jako pierwsi po osi południowej. Podążanie śladami Polonii na świecie wzbudziło w nas dodatkową sympatię do podróżników. Życzymy powodzenia!

Przed nami dalsza podróż, kolejne spotkania i tematy.

ZSCz

**ALICJA GRYGIERCZYK**

Jest ciepły, słoneczny, listopadowy dzień. Artur wraca ze szkoły, porywa sportową torbę i mijając mnie w pokoju woła, że idzie grać w rugby na boisku szkolnym. Jeszcze zanim mówię: – super!, czuję niepokój, który natychmiast wydaje mi się nie na miejscu, bo jak na listopad jest wyjątkowo piękna pogoda i przecież to nie jest jego pierwszy mecz w rugby, więc: – super! – mówię i oczyma wyobraźni widzę go w akcji: pełna koncentracja, całkowite oddanie i pasja. Uśmiecham się do siebie na myśl, jakie fajne popołudnie go czeka. Przypomina mi się, jak na początku szkoły średniej zaczął codziennie jeździć na siłownię i wracać z niej dopiero wieczorem. Nie mogliśmy wtedy dojść do porozumienia, ponieważ wydawało mi się, że powinien więcej czasu poświęcać na naukę.

– Nie będzie sportu, nie będzie dobrych ocen! – powiedział zdecydowanym tonem, a ja dałam mu święty spokój, bo wiedziałam, że kiedy tak mówi, daje mi sygnał, że wchodzę na jego terytorium o którym nie mogę mieć pojęcia.

Jestem w trakcie przygotowywania obiadu, kiedy dzwoni telefon:

– Dzień dobry, tu Arun, Artur miał wypadek, upadł na meczu, nie mógł złapać oddechu, zawiozłem go na pogotowie.

– Jak on się teraz czuje? – pytam i natychmiast przypomina mi się niepokój, który poczułam w pokoju. Ten niepokój niepokoi mnie najbardziej. Dostaję odpowiedź, że jest ok, że już oddycha i można z nim rozmawiać. – Zaraz tam będę – mówię. W poczekalni pogotowia widzę Aruna i jeszcze innego kolegę. Informują mnie, że Artur jest już w środku. Recepcjonistka otwiera mi drzwi i podaje numer sali. Mój syn leży na łóżku, opowiada, jak parę razy prosił trenerkę, żeby wezwała ambulans, a ona kazała mu czekać do końca meczu. – Podobno mam trzy litry krwi w brzuchu – mówi przestraszony. Jestem w szoku. Od lekarza dowiaduję się, że ma pękniętą nerkę i tętnicę doprowadzającą krew do nerki. Stoi obok Artura i informuje mnie, że stan jest bardzo ciężki. Jego twarz, głos nie wyrażają

żadnej emocji. Na miłość Boską, dlaczego on to mówi przy Arturze?

Nad moim dzieckiem pochylają się pielęgniarki. Przygotowują go do operacji.

– Czy ja umieram? – pyta Artur jednej z nich. Pytanie pozostaje bez odpowiedzi. Mam ochotę ją pobić. Podchodzę do pielęgniarki stojącej z boku: – Co tu się dzieje? – pytam. Dlaczego nie udzielacie mu pomocy? Pielęgniarka patrzy mi prosto w oczy i mówi, że ponieważ cały brzuch zalany jest krwią, chirurg nie może znaleźć na skanie tej tętnicy. Potem popycha mnie lekko w stronę mojego syna.

– Proszę się z nim pożegnać – mówi. Podchodzę do Artura i mówię mu, że cały czas będę blisko i że zaraz się zobaczymy, po operacji. – Zadzwoń do babci Zosi, żeby się za mnie modliła – mówi do mnie mój niewierzący syn, a ja zapewniam go, że zaraz to zrobię i że ja też się będę modliła i że



wszystko będzie dobrze. Jestem tego pewna. Artura wywożą, a do mnie podchodzi pielęgniarka i mówi, że pokaże mi pokój, w którym będę mogła zaczekać. Idę za nią, pomimo że nie ufam już nikomu. Po drodze podchodzi do nas jakaś kobieta, zamienia z pielęgniarką parę słów i już tylko z tą kobietą wchodzę do pokoju, w którym siedzi parę osób. Kobieta przedstawia się, że jest psychologiem, prosi te osoby, żeby opuściły pokój bo „tutaj jest matka, której syn jest w bardzo ciężkim stanie”. Zaczynam mieć tego dosyć. Sieć, którą oplatają mnie od momentu pojawienia się przy Arturze zaczyna mnie dusić. Kobieta zbliża się do mnie, wykonuje gest, jakby chciała mnie przytulić. Odpycham ją z całej siły. – Proszę stąd wyjść – zaczynam krzyczeć – i to natychmiast! Zostawia mnie w spokoju. Sieć zostaje przerwana. Siadam przy stoliku odwrócona plecami do wszystkich.

Mój syn. Mój idol. Tak różny ode mnie i od swojego ojca, nawet od dziadków i babć. Jakaś loteria nieznanych nam genów miała miejsce w momencie jego poczęcia: żelazna dyscyplina, konsekwentne dążenie do celu, rzucanie sobie wyzwań. Miał szesnaście lat, kiedy pewnego dnia powiedział: – chcęjechać na rok do Ameryki. Wybuchnęłam śmiechem. Ale on nie przestawał o tym mówić. Długo nie traktowaliśmy tego poważnie. Aż w momencie, kiedy wyliczył, ile kosztuje nas jego utrzymanie w ciągu roku i jak to odejmiemy od sumy, którą trzeba zapłacić instytucji organizującej ten wyjazd i dodamy, ile zarobi pracując w soboty...dotarło do nas że jest to jego marzenie.

– Co oni mi insynuują? – moje myśli są w panice – Nic o nim nie wiedzą! Nie znają jego siły przebicia!

Po „najciekawszym roku jego życia” – powrocie z Ameryki, jego pierwszy raport jest tak zły, że wychowawca mówi, że nie da sobie rady, bo: – ten po byt wprawdzie bardzo poprawił jego angielski, ale uwstecznił holenderski, a to że w domu mówi tylko po polsku, przekreśla jego szanse na nadrobienie zaległości. Już prawie zaczynam się z wychowawcą zastanawiać nad inną opcją, kiedy Artur przerywa nam tak dobrze mi znanym, pewnym głosem: – Mam jeszcze dużo czasu i trzy raporty przed sobą, dam sobie radę.

Pod koniec roku szkolnego spotykam wychowawcę. – A jednak dał sobie radę – śmieje się do mnie – a nikt w to nie wierzył. Niesamowity chłopak!

Przecież jeszcze tyle zaskoczeń nim przede mną, przecież on dopiero odkrywa siebie. Obserwuję to odkrywanie i reaguję zdumieniem, fascynacją, ale też przerażeniem, kiedy zapisuje się na muay thai boks. – Na miłość Boską, tylko nie to – mówię do niego – to jest sport dla chamów! – Nie, jeżeli motywacją jest poznanie sztuki walki – odpowiada. Po powrocie z pierwszego treningu cały się trzęsie. Po powrocie z następnego ma rozbity łuk brwiowy i siniaka na policzku. Potem przerywa trening na jakiś czas, bo cały jest poobijany i „wszystko” go boli. Parę miesięcy później w jego oczach widzę ogromną satysfakcję: – Ten sport uczy, jak stworzyć z ciała narzędzie. Jeszcze trochę i zobaczysz mnie na ringu.

Moją retrospekcję przerywa jakiś zwierzęcy krzyk na korytarzu. – Ktoś po strasznym wypadku – myślę, ale tym razem empatia opuszcza mnie zupełnie. Do pokoju wcho-



dzi pielęgniarka: – Artur jest już po operacji – mówi. Idę za nią i nagle dociera do mnie, że zbliżam się do tego krzyku, na który stałam się obojętna. Mój syn dostaje potężną dawkę morfiny i następne dwie noce spędzam z nim na intensywnej terapii. Trzyma mnie ze ręką. W pewnym momencie morfina już nie wystarcza do złagodzenia bólu i aplikują mu jakiś lek, na który jego organizm reaguje szokiem. Zrywa z siebie wszystkie rurki i kable, którymi podłączony jest do aparatury, chce wyskoczyć z łóżka, a kiedy pielęgniarze mu na to nie pozwalają, traci przytomność. Po raz pierwszy wpadam w panikę.

– Wróciłem? – pyta Artur patrząc na mnie zdumionym, niedowierzającym wzrokiem. Uśmiecham się do niego, ale widzę, że nie „wrócił” jeszcze zupełnie. Przygląda mi się w ogromnym skupieniu. – Ile jest dwa razy cztery – pyta? – Osiem – odpowiadam i martwię się niepewnością w jego oczach. Myśli bardzo intensywnie i nagle daje mi do rozwiązania jakieś skomplikowane zadanie matematyczne. – Artur, nie umiem tego rozwiązać – mówię z rezygnacją. – A więc naprawdę wróciłem – mówi do siebie i czuję w jego głosie ogromną ulgę. Po raz pierwszy od jego wypadku wybucham śmiechem. Wrócił. Razem ze swoim analitycznym umysłem! Jestem taka szczęśliwa. Chłonę jego opowieść o koszmarze, w którym znalazł się z powodu leku. – Tak bardzo bałem się, że rozwiążesz to zadanie. Byłby to dla mnie dowód, że ciągle znajduję się w nierealnym świecie – mówi do mnie mój syn. Śmiejemy się serdecznie, odprężającym śmiechem. Przepelnia mnie ogromna radość i niewypowiedziana wdzięczność.

Dwa tygodnie później spotykam się z Nynke. Opowiadam jej o traumie, jaką mam z powodu sieci którą mnie otoczono.

– Chcieli zabrać mi nadzieję – mówię.

– Nie, oni chcieli przygotować cię do rozstania. On miał ogromne szczęście, że przeżył.

– Tak, przypominają mi o tym na każdym badaniu kontrolnym. Z uporem maniaka informują, że umierał. Naprawdę mogliby mu już tego zaoszczędzić!

Nynke całuje mnie w policzek.

– Dlaczego ty tak strasznie boisz się śmierci? Jest częścią życia. Dopóki nie przestaniesz się oszukiwać i nie przyjmiesz faktu, że śmierć należy do życia, całe życie będziesz się bać.

Patrzę na nią, na tę moją joginkę, która sześć lat temu straciła swojego ukochanego dwudziestopięcioletniego syna, a jest jedną z najbardziej zrównoważonych, szczęśliwych i kochających życie osób, jakie znam.

– Jeszcze nie dorosłam do tego – mówię – i wiem, że nigdy nie dorosnę, dlatego ja chcę być oszukiwana. **AG**

List z Vlissingen

TOMASZ SAWICKI

Zdarzyło się to w sylwestrowe wczesne popołudnie. Czytałem gazetę, niejako w tle słuchałem muzyki na programie Mezzo. Nagle dotarły do mnie znajome i z dawna nie słyszane dźwięki mazura z „Halki”. Nie wierzyłem własnym uszom. Tak, w wersji instrumentalnej grała go orkiestra symfoniczna z Lipska. To zdarzenie dało mi impuls do przypomnienia prawie zapomnianej postaci muzyka, nauczyciela i kompozytora.

Stanisław Moniuszko żył w latach 1819 – 1872. Urodził się w majątku Ubiel niedaleko Śmiłowicz, około 30 km od Mińska.

W tym roku minie 140 rocznica śmierci wielkiego Polaka.

Nazywany „ojcem opery polskiej”, w pełni zasługuje na to miano. Udowodnił, że opera jako forma muzyczna nie musi wyłączać wyłącznie spod piór Włochów. Muzyka słowiańska daje również możliwości dla popisów *belcanta*, a osadzenie libretta w polskich realiach może być równie interesujące i wzruszające dla widza.

Niewątpliwie najpopularniejsze opery to „Halka” i „Straszny dwór”, ale to nie jedne w tym gatunku w jego dorobku. Warto przypomnieć „Hrabinę” lub „Flisa”, czy „Verbum nobile”. Ogromny aplauz publiczności już przy pierwszych wykonaniach „Halki” spowodował potrzebę, aby rozbudować ten utwór, początkowo napisany na dwa, do czterech aktów i w tej formie zachował się do czasów współczesnych.

Stanisław Moniuszko to wszechstronnie praktykujący muzyk. Znajdziemy go za manuałem organów kościoła św. Piotra i Pawła w Wilnie, przy pulpicie dyrygentkim orkiestry w Warszawie i dyrygującego założonym przez siebie chórem Towarzystwa im. św. Cecylii, patronki wszystkich śpiewających artystów.

Ten nauczyciel muzyki opublikował 12 śpiewników domowych (ponad 250 pieśni) do słów dziś jeszcze znanych i cenionych poetów z Mickiewiczem na czele.

Nie każdy pamięta, że hymn miasta Łodzi „Przańniczka” – to jego utwór do słów Jana Czeczota z 1846 roku. W czasach, kiedy tworzył swoje pieśni, było ogromne zapotrzebowanie na domowe muzykowanie, jednak nie było jak dzisiaj telewizji, a zimowe długie wieczory zachęcały do śpiewu i gry na instrumentach muzycznych. Słowa narodowej poezji lepiej wchodziły do głowy



„zaprawione” melodią, budząc i rozwijając poczucie polskości, mimo że za oknem panował zaborca. Polski Dom był ostoją polskości, czyli świadomości narodowej.

Do utrwalania tej świadomości niewątpliwie przyczynił się Stanisław Moniuszko przez swoją twórczość. Ostatnie lata życia poświęcił intensywnej pracy w Warszawie, gdzie zmarł nagle na atak serca w wieku 53 lat. Został pochowany na warszawskich Powązkach.

Nic też dziwnego, że jego pogrzeb zgromadził rzesze warszawiaków i stał się manifestacją narodową. Odszedł człowiek, ale pozostał jego dorobek, ten zapisany na pięcioliniach. Żyje w pamięci narodowej zaklęty w pomnikach, nazwach ulic i instytucji kulturalnych. Kolejne wojny starły z ziemi dworek w Ubielu niedaleko Mińska i nie lada trudu musiał sobie zadać Marian Fuks i kilka innych życzliwych osób, by odnaleźć to miejsce. Oznaczono je pamiątkowym obeliskiem opatrzonym dwujęzycznym napisem. Nie spieramy się z Białorusinami o narodowość Moniuszki, on przez wkład do kultury wschodnioeuropejskiej stał się ponadnarodowy. Młode państwo szuka swojej tożsamości narodowej, a nią jest przecież historia i w szerokim pojęciu kultura.

Ogromną entuzjastką twórczości mistrza jest Maria Fołtyn – śpiewaczka i prezes Towarzystwa Miłośników Muzyki Moniuszki, dyrektor dorocznych festiwali moniuszkowskich w Kudowie Zdroju. Mimo zaawansowanego wieku pani Fołtyn nie brak zapału do pracy. W ubiegłym roku, dzięki jej niestrudzonej woli i ogromnej pracy odbył się 49 festiwal ku chwale patrona, ku radości kuracjuszy i publiczności, która licznie przyjeżdża w tym czasie do Kudowy Zdroju.

TS



Scena Młodych

H O L A N D I A

SCENA MŁODYCH ZAPRASZA:

Scena Młodych przy Pools Podium działa od 2000 roku. Pierwsi jej uczestnicy mają już swoje rodziny, pracę zawodową, ale... pozostają ze sobą w kontakcie i mile wspominają wspólne działania.

Od 11 lat Scena Młodych w Holandii spotyka się latem w Polsce na warsztatach artystycznych. Nowa Róża inspiruje młodych. Pod okiem zaprzyjaźnionych filmowców Dominika i Piotra Matwiejczyków powstają filmy, które można zobaczyć na youtube:

<http://www.youtube.com/user/PoolsPodiumNL>

Chcecie filmować, fotografować, malować, pisać, albo po prostu spędzić fajnie czas z rówieśnikami (zawsze się tacy znajdują, chociaż granic wiekowych nie ma) skontaktujcie się z nami:

jongpodium@gmail.com

Latem w pierwszym tygodniu sierpnia spotykamy się w Polsce w Nowej Róży (Wielkopolska). Zapraszamy, czekamy na Wasze zgłoszenia. scenapolska@planet.nl

Nie ma barier językowych, rozmawiamy po polsku, niderlandzku, angielsku.

Nasze hasło: „**Podobieństwo różnic**”

Scena Młodych przy Pools Podium

DRUK OFFSETOWY

DRUK CYFROWY

STUDIO GRAFICZNE

PIECZĄTKI

KALENDARZE

ZAPROSZENIA

i wiele innych! ZOBACZ

www.drukarniaswarzedzka.pl

drukarnia@drukarniaswarzedzka.pl

rok założenia 1987

**DRUKARNIA
SWARZĘDZKA**
Stanisław i Marcin Witecki

Swarzędz, ul. Pogodna 24a

tel./fax +48 61-817-27-64

tel./fax +48 61-651-57-02

kom. +48 609-75-18-19

POLSKIE TOWARZYSTWO STWARDNIENIA ROZSIANEGO

Oddział WIELKOPOLSKA

61-102 Poznań, ul. Czartoria 8C



Biuro, dyżury i adres do korespondencji:
61-696 Poznań, Al.Solidarności 36 pok.101

Dyżury biura:

wtorki 10 - 13 środy i czwartki 15.30 - 17.30

* inny termin - na umówienie telefonicznie

Dyżury Przewodniczącej Rady Oddziału w biurze
poniedziałki 16-18 , kom. 508 200 254

poznan@ptsr.org.pl
www.poznan.ptsr.org.pl

telefony:

605 03 03 89

723 404 259

61 64 777 20 - w czasie dyżurów

Organizacja Pożytku Publicznego KRS 0000137276
NIP 778-14-05-013 REGON 6344044270
Konto bankowe: 34 1140 1124 0000 2706 6500 1001

- informacje o leczeniu i rehabilitacji
- szeroki dostęp do informacji o chorobie
- pomoc Asystenta Osoby Niepełnosprawnej
- rehabilitację domową
- rehabilitację grupową
- terapie tańcem / różne formy
- pomoc psychologiczną
- informacje o ośrodkach i turnusach
- spotkania grup wsparcia
- spotkania świąteczne, kulturalne
- imprezy turystyczne, inne...
- spotkania problemowe ...

Zapraszamy!

chorych na SM oraz każdego, kto chce działać
na rzecz osób ze stwardnieniem rozsianym

“En elke avond op tijd thuis voor het eten”

Dirk van Lanschot logistiek directeur. Werkt met Stuwarooij sinds 2000.



Stuwarooij. Uw grip op logistiek.

Ontzorgingslogistiek, best een mooi woord. Misschien wel rijp voor de Dikke van Dale. Wie weet wordt 'ontzorgingslogistiek' wel het woord van 2011! Moeilijk woord ook?? Welnee, het woord staat voor het ontzorgen van uw organisatie in uw logistieke

proces. Nooit meer zorgen over voldoende mensen op de werkvloer. Nooit meer zorgen over deadlines en productiviteit. Nooit meer zorgen over de bezetting van uw magazijn. Wij zorgen hier al bijna 25 jaar voor bij al onze klanten. Vandaar dat mooie woord!

